

— Zawsze co na swoim, to na swoim proszę pani, a człowiek tyż za szczęściem tęskni.

— Jak uważasz. Namysł się jednak, za służbę można podziękować, w małżeństwie musi człowiek wytrwać aż do śmierci, chociaż by życie piekłem było. A przytem nie jesteś całkiem zdrowa, pamiętasz przed kilku laty, gdy cię posłałam do lekarza z temi wrzodami, co ci się wyrzucały na nogach, powiedział ci wtedy, że to na tle gruźliczem, żeś się wydawać nie powinna, bo możesz wpaść w suchoty.

— I... co tyż pani wspomina takie stare dzieje, z ostrej krwi było, a nie z jakichś tam suchocisków. Zresztą, raz koźie śmierć, a ja już sobie tak postanowiłam i zapowiedzi już idą.

Chciała jeszcze pani mówić, ale dostrzegła w oczach dziewczyny ironiczny błysk i zrozumiała, nie było co tłumaczyć. Małgosia myślała, że pani usiłuje jej zagrozić drogę do szczęścia, by zatrzymać służącą, do której nawykła. Więc zakończyła krótkiem:

— Obyś była szczęśliwa.

Małgosia wyszła rozpromieniona, myślała, że te panie to wszystkie jednakie, ani krzty w nich życzliwego serca dla służi, ot i pani, taka niby dobra, a zaraz z niej samolubstwo wylazło. Zazdrość jej pewno, że jej nikt nie chce, a Małgosia znalazła sobie kawalira. „Brzydkie, cie, czy to wszyscy muszą być urodziwi?“ Prawda, że ten nos to nie piękny, ale z tyłu to przecie zupełnie przystojny chłop, a czy ona to piękność! Ej Boże...

„Na pieniądze leci“, może i leci i co mu ta za złe brać, każdy sobie chce los poprawić. Albo z temi suchotami, że ta człowiekowi raz owrzodziło nogi, to zaraz mają przyjść po ślubie suchoty, a u pani, to już niby zdrowie murowane do końca życia.

Otarła łzy fartuchem: biednej dziewczynie, to nawet tej odrobiny szczęścia ludzie zazdiją...

*

*

*

A przecie ciężko jej jakoś było. Zbliżał się dzień ślubu i jakoś coraz mniej było w niej radości i z coraz większym żalem patrzyła na swój pokój koło kuchni, jasny miły pokój, gdzie jej tak dziwnie szybko przeleciało dziesięć lat życia, jak z bicia trzaśł...

Wynajeli już z Frankiem pokój w suterynie, wilgoć była na ścianach, a przez wysoko umieszczone okno, widziało się szary mur sąsiedniej kamienicy i szybko idące po chodniku nogi przechodniów. Kupili meble u żyda na Kazimierzu. Małgosia z dumą patrzyła na własne łóżko, komodę, ceratową, trochę już wysiedzianą kanapę, przecie to było własne, swoje, wykołysane w najbardziej skrytych marzeniach. Od pani dostali